

**ANTONI DRAŻKIEWICZ**

**WSPOMNIENIA  
CZACHOWCZYKA  
Z 1863 ROKU**

## ROZDZIAŁ I

### CHARAKTERYSTYKA I SKŁAD ODDZIAŁU

Mając na celu opisanie kampanji r. 1863 oddziału pod wodzą bohaterskiego Czachowskiego, polskiego Naczelnika Wojennego Województwa Sandomierskiego, uważam za najstosowniejsze skreślenie niniejszych wspomnień zacząć od obeznania na wstępie czytelnika z tą postacią mego byłego a nieodżałowanego naczelnika w wiekopomnym powstaniu styczniowym.

Bohater to narodowy niezwyklej miary, wart, aby przeszedł do potomności w najdrobniejszych szczegółach.

Dionizy Czachowski, porucznik kawalerji z przed r. 1830, adjutant generała Henryka Dembińskiego<sup>1</sup>, towarzysz jego sławnej wyprawy na Litwę, posiadał wieś Jankowice pod Radomiem, na traktach do Warszawy. Miał jeszcze oprócz tej i kilka innych wiosek w różnych okolicach Polski; lecz cały ten majątek, na lat parę przed powstaniem, przelał na imię swych dzieci. Z jego synów do powstania przyłączyło się dwóch: Karol i Juljan, którzy obok mnie walczyli: Karol jako oficer kawalerji, a Juljan wolontarjusz w sztabie, przy osobie ojca naczelnika. Według własnej rachuby, co z jego ust sam słyszałem, w r. 1863 liczył sobie lat 67<sup>2</sup>. Wzrostu był dosyć wysokiego, silnie i krępo zbudowany, spojrzenie miał bystre, organ głosu silny i donośny, włos mocno szpakowaty. Postawa jego i wydawana przez niego komenda znamionowały prawdziwego wojskowego. Charakteru był nadzwyczaj gwałtownego, nieznoszącego żadnego oporu, i żadnego «ale». Mało było ludzi, których poznałem, coby chcąc zmienić jego gwałtownie przez niego wydaną decyzją, wazyli się doń odzywać reflektująco. Kto poznał lepiej jego charakter, zwykle zaczynał od słów - «Dobrze Ojczy! Wola twoja wykonaną będzie. Ale racz rozważyć» - i tu dopiero następowało wyjaśnienie jak się zapatrywali inni patrioci.

Mimo tego swego temperamentu, nie widziałem nigdy, aby jaką niesprawiedliwość względem kogo sam lub komukolwiek dozwolił popełnić bezkarnie, jeżeli to tylko doszło jego wiedzy.

Był nieprzyjacielem formułek prawnych, i dlatego nie zawsze się ich trzymał. W tym względzie błędził o tyle, że dał pozór wrogom swoim, a którzyż to człowiek energiczny, prawy, a sprawiedliwy ich nie ma? - do pozornych przeciw niemu o tę gwałtowność zarzutów. Zarzucali mu, że sądy wojenne przezeń zwołane, musiały być podług jego woli wyrokować. Ależ one nigdy stronniczo nie sądziły; a toż przecie był stan wojenny, i my żadnych regularnych trybunałów nie posiadaliśmy? Istota, przeto rzeczy zawsze pozostałyby też sama, chyba tylko forma przeprowadzoną byłaby dokładniej. Nieprzyjaciele nie objaśniają w jakich to chwilach mianowicie, tak absolutnie sobie postępować. Zawsze atoli bardzo wiele więcej pociągał winnych do kary za wyrokami sądów wojennych niż bez nich. Pamiętać trzeba, że były to chwile wyjątkowe,

---

<sup>1</sup> Nie ma żadnych podstaw do twierdzenia, że Czachowski brał udział w czasie powstania listopadowego w wyprawie na Litwę. Natomiast nie można wykluczyć, że był uczestnikiem powstania listopadowego.

<sup>2</sup> Drażkiewicz się wyraźnie myli, Czachowski w 1863 roku liczył sobie niespełna 54 lata.

w których złe puszczone bezkarnie, mogło się stać wielce zaraźliwym, i przypawić cały oddział o zgubę.

Mimo późnego wieku, zachował całą energię lat młodzieńczych, popartą doświadczeniem i hartem duszy, męstwem i wytrawnością lat dojrzałych. W jeździe konnej, robieniu pałaszem, w strzelaniu celnie i to z konia, nie znajdował sobie równego w oddziale. Był zawołanym myśliwym a to się odbijało i w komendzie. Wszystkie też ruchy jego oddziału, którymi sam kierował - tak dalece, że nawet dowódcy batalionów, ani dowódcy innych oddziałów, gdy pod bezpośrednią jego komendą maszerowali, nie wiedzieli nigdy naprzód, którędy, dokąd i po co pójda - naśladowały: albo tropienie i pościg za dzikiem zwierzem, lub przeciwnie, zabezpieczanie się myśliwych przed drapieżnością gromadnie spotkanych dzikich zwierząt.

Nie wiele on musiał po latach 1830/1 zaglądać do ksiązek, zwłaszcza traktujących o sprawach wojskowych, dlatego też z dawnej nauki tego fachu pozostały mu najlepiej w pamięci: karność i służba obozowa. Trzeba znów przyznać z drugiej strony, że gdyby co i więcej mu w pamięci z niej pozostało, to nie mógłby zawsze tego zastosować. Często się bowiem trafiało, że w parę godzin po wstąpieniu powstańca do oddziału, tenże się już z nieprzyjacielem bić musiał. Trudno więc było żądać, aby taktycznie nim komenderowano.

Do tego biliśmy się prawie zawsze, szczególnie strzelcy, w linii tyralierskiej - a to dla szczupłości sił naszych, i lepszego imponowania oraz wprowadzania w błąd wroga, o istotnej liczbie oddziału - bardzo rozrzuconej, jednej linii, bez żadnych rezerw, i działaliśmy najwięcej na terenie lesistym, a zatem często zaledwie sąsiad sąsiada tylko dobrze widział. Doboszów i żadnych trębaczy nie mieliśmy. To też o zupełnym taktycznym wykształceniu wszystkich żołnierzy powstańczych, nawet mowy być nie mogło; bo ani czasu, ani miejsca, ani sposobności do tego nigdy nie było. Przemagający nas cyfrą i bronią zawsze w każdej okolicy od kilku do kilkudziesiąt razy wróg, niedopuszczał do używania zwykłej taktyki. Utrudniał jeszcze więcej, doznawany ciągle przez nas brak dobrej broni wojskowej, a nade wszystko nieustanny niedostatek amunicji. Jednego i drugiego tyle tylko mieliśmy, co z początku prawie gołemi rękoma na wrogu zdobywaliśmy i co następnie wydzieraliśmy mu podczas bitew.

Dlatego też zawsze prawie, zwłaszcza w lesie, w chwili bitwy, ustawała naczelna jego komenda, i przechodziła z konieczności w ręce komendantów kompanij; a często nawet na rzecz komendantów plutonów, półplutonów i sekcij. Trafiały się nawet chwile, że prawie każdy pojedynczy powstańca musiał niejako radzić sam sobie.

Kawalerja i kosynjerzy jako zawsze zwarci mogący tylko dobrze działać i dla tego najwięcej w rezerwie trzymani - ci tylko stosownie do otrzymywanej od niego komendy zawsze działali. Dlatego też wszyscy oficerowie strzelców i piechoty, w chwili rozpoczynania się bitwy, z karabinem i bagnetem w rękę stawali w pośród tyralierskiej linii, na równi ze wszystkimi swymi podkomendnymi, i sami walcząc z wrogiem, stosownie do uznanej przez się potrzeby, wydawali odpowiednie ustne rozkazy, co do rodzaju działania dalszego, swoim dwom, obok walczącym sąsiadom, a ci je swoim kolegom po linii, w jedną i drugą stronę powtarzali. Jedna tylko ogólna zasada decydowała bezwzględnie o naszych ruchach. Oto gdy większość linii tyralierskiej posuwała się naprzód, to samo już obowiązywało każdego bijącego się nie oglądając się na nic toż samo wykonywać, z tym chyba warunkiem, żeby zawsze starał się przy strzelaniu do wroga korzystać z naturalnych osłon jakie mu na terenie się natrafiły, i dla

tego gdzie brak ich było w prostym kierunku, to wolno mu było, wyprzedzić lub pozostać za takową o kilka kroków.

Drugą zasadą było stosowanie się do ilości ładunków, mianych przy sobie.

Trzecia zasada obowiązywała nas bez względu na stopnie, a to by dwóch sąsiadów rannego lub poległego ich towarzysza, skoro tylko usłyszeli krzyk jego lub dostrzegli, że upadł na ziemię - natychmiast, bez względu na wielkość grożącego im samym przez to niebezpieczeństwa, musieli opuścić swe stanowisko i udać się do niego, dla sprawdzenia: czy już poległ czy tylko został ranny. Jeżeli poległ, zabierali jego broń i amunicję; jego zaś samego przeżegnawszy i zmówiwszy wieczny odpoczynek, wracali do boju.

Po bitwie dopiero, gdy ta na naszą stronę przechyliła zwycięstwo, zbieraliśmy poległych swoich i grzebali na cmentarzach sąsiednich parafii lub we wspólnej mogile, wśród lasów usypanej, oznaczając ją krzyżem, poświęconym przez kapelana oddziału, a to stosownie do sprzyjających lub nie dla nas okoliczności. Jeżeli zaś przekonali się, że jeszcze żyje, to musieli rozebraćszy broń i amunicję jego pomiędzy siebie, zabrać go i odnieść w tył, do rezerw; a stamtąd po bitwie, lub w marszu dalszym, wysełano ich w odpowiednie miejsca na kurację.

Czachowski tak w obozie i marszu jak i w bitwie, zawsze w pośród nas przebywał, dzień i noc.

W bitwach usuwał się jak regulamin każe, zaraz za linią bijącej się piechoty i strzelców: ale zdarzały się wypadki, że stawał konno, wśród samej linii, i brał czynny osobisty udział w boju.

Oficerowie wszakże instynktem pojmwali jego plany, chociaż ich nigdy im nie objawiał; w skutek, czego w smutnej konieczności przebijania się przez Moskali, jak np. w dniu 11 czerwca<sup>3</sup>, gdy ci nas usiłowali otoczyć zupełnie, przeszło trzydziestokrotną siłą w lasach wąchockich, nie dostali nigdy w ręce swoje na placu bitwy ani jednego z rannych, a tę mniej żywych naszych towarzyszy.

Czachowski był typem starodawnego szlachcica polskiego ze wszystkimi obok cnót i dawnymi nieogłędnościami: - ale czyż godzi się starca bohatera, co i dzieci swe na ołtarzu ojczyzny składał, pomawiać o nie ostro? Był dzielnym i walecznym żołnierzem, ale co prawda administratorem najgorszym.

Wymagał od podkomendnych prawie nadludzkich wysileń, ale mało się troszczył o ich niezbędne potrzeby. Toteż gdy inne oddziały bijące się obok nas, w naszym województwie, choć niektóre z nich należały do innych województw i potrzeby swe obficie zaspakajały, my tymczasem cierpieliśmy wielki niedostatek. Głodowaliśmy bardzo, a to tak dalece, że często po czterdzieści ośm godzin nie mieliśmy nic w ustach, często, nawet wody; gdyż wróg ze wszystkich oddziałów najwięcej nas, aż do samego końca ścigał.

Byliśmy obdarci jak nieboskie stworzenia; gdyż chodziliśmy do końca w tem ubraniu jakie który z domu do obozu na sobie przyniósł, z tą różnicą, że z wiosną zrzuciliśmy z siebie zimowe suknie, obdarowując nimi napotykanych dziadów, zupełnie już zniszczone i przez gałęzie drzew leśnych podarte, a pozostawialiśmy w lżejszem, letniem, w które każdy idący w zimie do powstania, w przewidywaniu swego dalszego olosu, na spód się ubrał. Z bielizny tylko strzępki na każdym się z nas trzymały. Owady też nam strasznie dokuczały. Większa połowa z nas była zupełnie bosą; a tu trzeba było wciąż maszerować, i to najczęściej bezdrożami, po szpilkach, szyszkach, cierniach i

---

<sup>3</sup> Chodzi o bitwę pod Ratajami leżącymi 2 km na południowy- wschód od Wąchocka.

kolcach leśnych, a do tego najczęściej po nocach. Każdy też piechotyniec, zamiast podeszew u swej stopy, miał materią i krew, którą wciąż musiał moczyć i łojem smarować, skoro go tylko dostać mógł.

Czachowski sam nawet w początku czerwca 1863 r. był ubrany w sławną swoją kurtkę i szarawary z baranów, na które burkę narzucał.

Był to prawdziwy Polak bohaterski starzec. Mimo swego podeszłego wieku, mimo tak groźnych sił jakie wróg pod koniec powstania rozwinął, mimo ostrej zimy z roku 1863/4, mimo że wszystko sprzysięgło się na zgubę powstania 1863 r. - nie ustąpił z ziemi ojczystej, z placu boju, i jak zawsze przyrzekał tak dotrzymał. Z przytomnością i prawie rozmyślnie upadł na niej, potykając się z wrogiem do ostatka, jak na prawdziwego rycerza przystało. Zginął w obronie wolności ojczyzny a ta go powinna zaliczyć między święte bohaterki swe, co krucjatę przeciwko szatańskiemu najazdowi moskiewskiemu podjęli.

Wzorowy ten rycerz porozbiorowy, wyższy i szlachetniejszy o całe niebo od „regularnie” płatnego żołnierza z musu lub kariery osobistej, przystąpił do powstania zaraz w pierwszej nocy z 22 na 23 stycznia 1863, przy nieudanym zdobywaniu Szydłowca przez Langiewicza, z powodu zdrady Żyda z maziarni w rządowych lasach. Klęska ta atoli nie dotknęła przyszłego wojewody sandomierskiego. Miał on bowiem zadanie uderzenia tej nocy na Szydłowiec od strony traktu z Chlewisk, a robiąc forsowny marsz ze swym oddziałem przez stawy i moczary, wszedł był właśnie do miasta, gdy już nasi pierzchali przed przeważną, a do tego regularnie przygotowaną do obrony siłą moskiewską<sup>4</sup>.

Czachowski, rzec można śmiało, ocalił tu wątek dalszej akcji bohaterskiego powstania województwa krakowskiego i sandomierskiego, zachowując przy sobie zawiązek ze 100 ludzi karnych i mężnych, do których nazajutrz przyłączył się i Langiewicz sam swoją osobą. przy tych to kadrach, już w tydzień po tem, przyszły dyktator, liczył znowu swój oddział na tysiące, choć to wyglądało na niepodobieństwo po porażce pierwszej nocy. W dniu 1 lutego 1863 r., Czachowski<sup>5</sup>, już jako major wojsk polskich, otrzymał przeznaczenie od Langiewicza, by z dwoma bataljonami nie dopuścić do połączenia się Markowa<sup>6</sup> z Czengerim<sup>7</sup> maszerującym z Kielc na Suchedniów do Wąchocka<sup>8</sup>. Obsadził kompanią strzelców i kosynjerów las przy trakcie z Suchedniowa do Bzina wiodący; sam zaś zajął osady Suchedniów i Berezów, opierając się o rzekę Berezówkę. Zasadzka w lesie spełniła, co mogła, a resztki tylko dragonów moskiewskich, połączyło się z Czengerem; mając dwa bataljony piechoty, 4 dział i kilka sotni kozaków, musiał sam zdobywać osady dom po domie, choć cały oddziałek Czachowskiego prócz kos bardzo mało miał broni palnej, i to myśliwskiej wyłącznie. Wyparty przeważną siłą z osad, Czachowski, pod ogniem dział uprowadził w porządku do lasu swój bohaterski zastęp, podczas gdy siły Langiewicza rozpierzchły się znowu i

---

<sup>4</sup> Udział Czachowskiego w ataku na Szydłowiec jest wątpliwy.

<sup>5</sup> Zgrupowanie Langiewicza w Wąchocku było podzielone na cztery bataliony. Dowódcą trzeciego batalionu został Czachowski.

<sup>6</sup> Gen. Mark był dowódcą garnizonu rosyjskiego w Szydłowcu.

<sup>7</sup> Ksawery Onufry Czengiery był naczelnikiem wojennym powiatu kieleckiego. W czasie powstania otrzymał awans na generała.

<sup>8</sup> Najpełniejszy opis obozu Langiewicza w Wąchocku zawiera praca Heleny Rządzkowskiej pt. *Marian Langiewicz*, (Warszawa 1967), a ostatnio W. Kalwat, *Kampania Langiewicza 1863*, Bellona, Warszawa 2012.

pod Wąchockiem.

Karne i mężne szeregi, bohaterskiego starca, wykonały ów niedościgły kontrmarsz dla wojska regularnego odskakując najprzód pod Bodzentyn, słynny z pobicia w puch i perzynę pierwszej nocy z 22 na 23 stycznia, kompanii właśnie tych strzelców, co pierwsi strzelali w Warszawie 25 lut[ego] 1861 do ludu bezbronnego; następnie ruszając do Słupi, skąd pod ogniem działowym zawrócił do klasztoru św. Krzyża, by go nie dać ubiec Moskałom. Do Bodzentyna o 12 w nocy zjawił się samotnie znowu Langiewicz, i objął dowództwo naczelne.

Do Staszowa Czachowski nie wpuścił Gawryłowa<sup>9</sup>, tak że ten uciekł a nas zostawili w mieście. Pod Małogoszczą pułk jego zaślaniał rejteradę Langiewicza, i tak strzegł armii narodowej aż do Ojcowa. Pod Nowym folwarkiem i Pieskową Skalą on główny bój prowadził, i znowuż odwrót zaślaniał. Pod Chrobrzem, wczesnym obsadzeniem cmentarza, umożliwił zwycięstwo dyktatorowi, i przejście armii powstańczej przez rzekę Nidę. Z uszczerbkiem własnych sił, przysłał był swych kosynierów pod majorem Piórem pod Grochowiska<sup>10</sup>, a ci tam cudów waleczności dokazali, zapędzając Czengerego z artylerją i jego „zuchami” smoleńskimi do chlewów z czystego pola.

Po haniebnej ucieczce Langiewicza do Galicji, a to w celu zabicia powstania, starzec bohater, splunąwszy na wiadomość o tej strategii poznańskiego powstańca, zawołał do swoich:

- Marsz za mną, walczyć dalej za wolność i Ojczyznę!

I jak duch mściciel krzywd. ojczyzny z 270 ludźmi swemi wpadł do puszczy iłżeckiej, i stamtąd rozniecił na nowo znicza narodowego ognisko, podstępnie gaszone.

Ze śpiżu to ulana postać starego Polaka, któremu Bóg włożył w rękę miecz zemsty, aby nim pęta niewinnie pokrzywdzonego narodu porozcinał. Czachowski to legendowy bohater, który żyć wiecznie będzie w pamięci ludu polskiego. O sobie nie mam co wiele mówić.

Urodziłem się w roku 1830 w mieście Bodzentynie u stóp gór Świętokrzyskich położonem. Ojciec mój był rolnik, trudniący się obok pilnowania własnej ziemi i handlem zboża.

W ósmym roku mego życia, już zostałem bratem szkaplerza 5tego a byłem też w siedemnastym Sodalis marjanus.

Chodziłem do szkół publicznych: w Sandomierzu, Kielcach i Piotrkowie, dla tego aż w trzech miejscach, że to od woli mej rodziny nie zależało.

Drodzy Rodzice moi nakazywali mi się wystrzegać a co ważniejsze pilnowali od wszelkiego rodzaju próżniactwa, mianując go: przyczyną wszystkiego złego; przyświecając do tego własnym prawym a pracowitym przykładem, wskazywali mi jako główny cel w życiu, obronę i pomoc wszystkim niesprawiedliwie uciskanym i prześladowanym, oraz niesienie im wszelkiej możliwej pomocy.

Rezultat życia ziemskiego oznaczali maksymą: „Wszystko, co w życiu osiągniesz, nawet najuczciwiej, musisz tu na ziemi pozostawić. To jedno tylko za grób, w drugie, ważniejsze życie weźmiesz z sobą, co tu dobrego uczynisz. A to decydować będzie o

---

<sup>9</sup> Mjr Gawryłow był dowódcą garnizonu w Proszowicach. Trzeba pamiętać, że w czasie wydarzeń 1863 roku oddziały rosyjskie często zmieniały miejsca stacjonowania. Raz oddział stacjonował w Proszowicach, a innym razem w Miechowie, czy Stopnicy.

<sup>10</sup> Po bitwie pod Grochowiskami (18, 03 1863) Langiewicz wraz z częścią oddziału udał się w kierunku Galicji, a mjr Czachowski odłączył się i skierował swój oddział w lasy świętokrzyskie.

twojej wieczności.” „Malecparta zaś idzie zawsze do czarta” - dodawali. Do pracy też przyzwyczaili mię, a w każdej klasie byłem, tak zwanym prymusem.” - Profesorowie nasi byli to sławni, a nigdy nieodżałowani mistrze po największej części sekularyzowani pijarzy, choć tak potępionych dzisiaj starych poglądów i systemów. Uczyłem się pilnie i zważając na każde słowo, które z ust tych zacnych mężów a prawdziwych synów Ziemi naszej, kapłanów nauki wychodziło.

Że to zaś były jeszcze czasy, w których brudnym geszeftem pogardzano i brzydzono się niesłuchanie, a ubogich kolegów w szkołach była większa połowa, na obyczaje przeto prowadzenie się zdrowie ducha a także i ciała, oraz potrzeby ich baczną zwracali uwagę; przyczem pierwsi w klasie uczniowie byli przez profesorów wskazywani ubogim, a słabszych zdolności kolegom jako naturalni a bezpłatni korepetytorowie. Publiczna szkoła i jednakowy mundur, nawet co do kosztowności i kroju jego, zacierały wszelkie różnice i zaprowadzały równość zupełną pomiędzy nami.

Stopień tylko wyróżniał nas, wobec naszych zacnych przełożonych a mistrzów. Przestrzegaliśmy też wielce, aby żaden z naszych kolegów munduru tego postępowaniem swoim nie plamił. Solidarność przeto, wskutek powyższych norm, była pomiędzy nami nad wiek nasz niesłuchanie silną. Koleżeństwo nie było czczą formą i pustym tylko frazesem. Przyjaciół też, i to w prawdziwym tego słowa znaczeniu, zupełnie mi oddanych, posiadałem w różnych okolicach kraju mnóstwo, co mi niejednokrotnie potem udowodnili.

Po wyjściu ze szkół, w r. 1848, zaraz zmuszony byłem wejść do służby rządowej.

Jacy to byli ludzie, urzędnicy Królestwa Polskiego, zwłaszcza w służbach sądowych i karbowych, pozostawili oni dokładne dowody, w sprawowaniu obowiązków administracji Królestwa sprzed r. 1863. Byłem urzędnikiem od r. 1848 aż do 1857 w Opocznie, w jednym z najobszerniejszych powiatów w całym Królestwie. Mieszkałem u brata, kanonika i proboszcza Opoczna.

Miasteczko powyższe było licho zbudowane i potężnie brudne, jako przez ludność przeważnie izraelską zaludnione. Interesantów do powiatu i jego jedynej kasy, jako też do sądu, przybywać musiało zawsze mnóstwo.

Gościnność na naszej ziemi była jeszcze wówczas obowiązującą i pilnie przestrzeganą. Musieliśmy przeto dom otwarty prowadzić a każdy potrzebny, nie mogąc znaleźć przywoitego dla siebie chwilowego pomieszczenia, zajeżdżał do proboszcza. Nie wiedząc znów jak sobie często radzić z drakońskimi moskiewskimi, narzucanemi już wówczas Królestwu przepisami, szukał rzecz prosta rady i pomocy u jego brata a urzędnika.

W r. 1857, w marcu, przeniesiony zostałem z awansem do radomskiego rządu gubernialnego, i zostawałem w nim, awansując, o chwili wyjścia mego wprost z biura tegoż do obozu powstańczego.

Dwóch ś. p. braci miałem kapłanami. Gdy byli jeszcze alumnami, mieli zalecone sobie na każde święta i wakacje przywozić ze sobą dwóch uboższych kolegów. Zwyczajem utrzymywanym święcie, zwłaszcza względem tych, co przepędzili w domu ś. p. rodziców czasy wakacyjne, było za powrotem do seminarjum, zaopatrywać ich za to i w nową garderobę. - Cały też prawie kler sandomierskiej diecezji był mi osobiście znany, i przyjaciół w nim liczyłem bardzo wielu.

Od dziecka prawie podróżowałem wiele. Najprzód wysełany przez drogich mych rodziców, w ich interesach, i to już w ósmym roku mego życia a do tego dosyć daleko, bo

postępowała połowa karabinierów, strzelców z bronią myśliwską i kosynjerów. Za tymi furgony, których najwięcej 3-4, a często tylko wszystkiego trzy były. Za furgonami odwrotny opisanemu wyżej utrzymywaliśmy często o mil 20 od domu; następnie w swoich własnych, a najwięcej - później w rządowych, służbowych sprawach. Nabrałem stąd dokładnej wiadomości kraju.

Gdy wstąpiłem do oddziału, podziwiali wszyscy moi przełożeni i towarzysze, że w którejkolwiek okolicy, zwłaszcza Sandomierskiego województwa, zjawiliśmy się, ja znajdowałem się zawsze jakby w własnym domu. Wszystko im też, co do okolicy i główniejszych mieszkańców jej, naprzód nazwałem i opisałem. Gdy zaś zetknęliśmy się z mieszkańcami, witali nas najserdeczniej, prawdziwie po staropolsku, z otwartymi jakto mówią sercami i rękoma. Przy ich to patriotycznej pomocy, zwłaszcza żem nie zapomniał na wszelki wypadek wziąć ze sobą do obozu znaczną część, bo prawie połowę swej własności,- mogłem koić niedostatek własny i kolegów oraz wielom z nich oddawać liczne przysługi, zmniejszać nędzę podkomendnych.

Że zaś jako już lat. 33 liczący wówczas, byłem przeto wyrozumiały na niektóre tych ostatnich błędy, jeżeli tylko sprawie dobra narodu w niczem nie zagrażały; w przeciwnym razie byłem na nie nieubłagany, i bez względu na stopień tych, co się ich dopuścić ośmielili, ściagałem takowe surowo.

A że w służbie rządowej musiałem na wiele szkarad moskiewskich patrzeć, przeto złe w samym zarodzie dostrzegałem i na jaw wyprowadzałem, ściagałem i bez żadnej różnicy tępic usiłowałem. Wszyscy też łotrzy serdecznie mnie nienawidzili, i ciągle potajemnie podemną dołki kopali; lecz wszystkie ich nieczne intrygi, zawsze na czas odkrywszy, na jaw wyprowadzałem i należną takim indywiduom zapłatę sam wymierzałem lub wymiar takowej wyjednywałem. Z chwilą wstąpienia mego do oddziału Czachowskiego, zaliczony zostałem jako wolontarjusz do kompanji imienia jego, a z najcelniejszych i najwięcej ostrzelanych strzelców oddziału kompletowanej. Kompanja ta zawsze była odkomenderowaną przez niego do rozpoczynania każdej bitwy, i ostatnia schodziła z placu. Dla osiągnięcia tego celu, ile razy spodziewał się Czachowski nieprzyjaciela lub maszerował z zamiarem atakowania go, to kompanja nasza postępowała, gdyby to i dwa lub trzy dni po sobie trwać miało, zawsze w awangardzie lub arjergardzie, stosownie do tego, skąd napad był oczekiwany. Nie powinno tedy żadnemu czytelnikowi wydawać się dziwnem, gdy podaję bardzo wiele szczegółów o wszystkim.

Czachowskiego sztab cały składał się ze szefa, którym był Władysław Eminowicz<sup>11</sup>. Adjutantem każdorazowo był jeden z oficerów oddziału, którzy bardzo często zmieniać się musieli, gdyż na jednego zawsze człowieka służba ta do wiecznych posyłek była za ciężka; ponieważ wódz nasz nie zwykł był mu dawać ani chwili spoczynku, tylko go wiecznie i wszędzie posyłał. Ja zaś, po odbytej służbie frontowej, tak w bitwie jako i w marszu, w chwili przeznaczonej innym na wypoczynek, musiałem udawać się zawsze na miejsce, które przedstawiać miało jego główną kwaterę, i tam załatwiać wszelkie korespondencje. Byłem obecny przeto zawsze, nie tylko przy odbieraniu wiadomości i korespondencyj, ale i wydawanych dyspozycjach i składanych z pojedynczych działań części oddziału raportów i ich sprawozdaniom. O ile przeto

---

<sup>11</sup> W. Eminowicz (1837-1864) początkowo był w zgrupowaniu Langiewicza, a po bitwie pod Grochowiskami szef sztabu w oddziale Czachowskiego. Z placu boju schodził po klęsce opatowskiej z 21 lutego 1864 roku.



przeszkody terenu nie dozwalały mi widzieć samemu, na własne oczy, działań części innych oddziału, w której ze stoczonych przez nas bitw, to zawsze miałem najlepszą sposobność do kompletowania całego przebiegu tychże, przy pomocy opisanych wyżej już środków.

Cyfry, dotyczące sił i strat nieprzyjaciela, dostarczali mi jego jeńcy, sąsiedni obywatele, ze stron których nieprzyjaciel na nas ciągnął i ci których w razie pobicia go przez nas się cofał; porównywałem je jeszcze, z dostarczonymi przez licznych moich przyjaciół w służbie carskiej pozostałych najdokładniejszymi o tych wiadomościach, które zawsze znajdowałem zgodnymi z naszymi cyframi, gdyżmy pobiwszy zupełnie Moskali, sami ich trupy liczyli. Każdodziennie w obozie i marszu, z wiedzą mego wodza, zapisywałem sobie w chronologicznie prowadzonym raptularzu, najmniej dwa razy dziennie: miejsca, przez które przechodziliśmy; bitwy, jakie gdzie stoczyliśmy z wrogiem; siły, jakie on i my mieliśmy; straty jego i nasze, ponoszone w takowych oraz treść tego wszystkiego ważnego, co oddział i sprawy narodu dotyczącego zaszło pod właściwą datą.

Wroga nigdy nie napadaliśmy w mieście lub wsi. I odwrotnie, zawsze staraliśmy się nie przyjąć pod samymi nimi, a tembardziej wewnątrz ich bitwy. Czyniliśmy to dla tego, aby odjąć mu wszelki pozór do obrabowania i wymordowania ich mieszkańców a następnie spalenia przez niego ich budynków. Dla tej samej przyczyny, unikaliśmy samego nawet przemarszu naszego przez takowe.

Szliśmy przeto zawsze bocznymi drożynami a nawet bezdrożami, prawie samymi najwięcej lasami; unikaliśmy nawet pól, któremi tylko z konieczności maszerowaliśmy.

Szyk marszowy kolumny naszej zawsze był następujący. Najprzód jechała szpica kawaleryjska złożona z 2 jeźdźców, w odległości 300 kroków od niej na terenie odsłoniętym, płaskim i w prostym kierunku w dzień; w odległości 150 kroków i w mniej płaskim i w prostym kierunku w dzień i na prostej szerokiej drodze, wśród lasów; w odległości 100 kroków i w więcej wzgórkowatym i osłoniętym też w dzień; w odległości 50 kroków, na krętych leśnych drożynach w dzień; w odległości 10-20 kroków, na krętych leśnych drożynach w nocy; za nią jechała reszta połowy kawalerji jaką kolumna nasza posiadała, i stanowiła awangardę kawaleryjską kolumny. W odpowiednim odstępie do powyżej wymienionych szło za kawalerją 6 -8 celnych strzelców z podoficerem, stanowiąc tak zwaną szpicę awangardy strzelców. Znów w odpowiednim odstępie do powyżej wymienionych szła reszta kompanji strzelców, z której szpica odkomenderowana została. Już w zwykłym kolumnowym związku za strzelcami szyk kolumny, to jest druga połowa kosynjerów, broni myśliwskiej, piechoty bagnetowej broni, strzelców (arjergarda), szpica strzelców (arjergardy), druga połowa kawalerji (arjergarda kawalerji) a na koniec szpica kawaleryjska arjergardy. Gdzie ukazywała się nadto potrzeba tego, strzelcy wyprawiali po bokach kolumny maszerującej flankierów.

Obozowaliśmy zawsze na gołej ziemi, nakrytej tylko chyba darnią, jeżeli błota nie było. Nocowaliśmy prawie zawsze w lesie, wybierając do tego, jeżeli tylko wróg nam na to dozwolił, miejsca przypierające do wody, zdatnej do picia, więc bardzo często na terenie wielce wilgotnym. Zakryci zaś byliśmy tylko konarami niebotycznych drzew nad nami rosnących przed śniegiem i deszczem nawalnym. Kilka razy wszystkiego, zwłaszcza w nocy, wśród takich gwałtownych ulew wprowadzono nas do budynków z lasu, i to więcej ze względu, aby zupełnie nie zamokła nam broń.

Żywiła nas i przewodników potrzebnych nam dostarczała głównie ludność wiejska,

do której wysyłał mi urzędowe z lasu rozkazy, treści następującej :

«Gromada wsi NN., pod karą za opór kodeksem wojennym przewidzianą, ma dostarczyć natychmiast: tu następował spis potrzebnej żywności i furazu dla oddziału a następnie znów:

«Dwór wsi NN. ma się do tego w stosunku części na niego przypadającej przyczynić. O czym gromada obowiązana go powiadomić i część tego wraz ze swą do obozu odstawić.» Kończyły ten rozkaz, data, podpis Czachowskiego i pieczęć województwa Sandomierskiego.

Doręczający sołtysowi wsi rozkaz, wskazywał mu punkt po za obozem, na zewnątrz leżący; dzień i godzinę tej dostawy, oraz objaśniał go, że niedostawienie zażądanych przedmiotów lub niedostarczenie odpowiednich a wiarygodnych przewodników, pociągnie za sobą jak równie najmniejszy objaw dostrzeżony zdrady dla niego samego, jako sołtysa carskiego i dla wszystkich zdrajców, karę śmierci przez powieszenie, dla opornej zaś wsi, zupełne spalenie przez powstanie. Ale te groźby w ogóle używane były tylko dla osłonięcia wieśniaków przed zemstą Moskali a oni ohotnie wszystko, co mieli, dostarczali nam sami.

Marsze nasze, szczególnie wśród lasów, często gdy nas przeważny wróg, ale jedną kolumną ścigał - my zaś dla niezależnych od nas przyczyn nie mogliśmy bez widocznej zguby oddziału przyjąć wtem miejscu bitwy - znikaliśmy mu nagle w takowych, robiąc w zakrytych dla niego gąszczach kontrmarsze i to często oddzieleni, zaledwie od kilkaset do tysiąc paruset kroków, równoległy do jego marszu; następnie wyszedłszy na drogę, którą poprzednio my, a on za nami maszerował, po przeczekaniu jakiś czas w gąszczach obok tejże, pozwalając mu gonić nas niby, sami potem za nim ostrożnie a powolnie maszerowaliśmy, szukając i czatując na sposobność czy gdzie nie uda nam się część jaką jego odkomenderowaną na bok napaść i wytepić. Lub też, jeżeli nas starał się wielu kolumnami otoczyć z daleka i po tem koncentrycznie przeciw nam chciał iść, to Czachowski rozwijał całą kolumnę od obozu zaraz w tyraljery i na przełaj, lasami jak jaką obławę, w jeden obrany przez siebie punkt, w którym dwie najśłabsze i najwięcej od siebie oddalone kolumny wroga na nas miały operować, w to miejsce nas wiódł. Postępowaliśmy wtedy z największą ostrożnością. Każdy, który natrafił brak pod stopami murawy lub piasek, zanim na to miejsce postąpił, robił na lewo zwrot w tył, i tyłem go przechodził a następnie już naprzód postępował.

Kawalerję zawsze w naszym oddziale w nadzwyczaj szczupłej liczbie utrzymywano - gdyż ta jedynie była przez niego, do służby obozowej jako podjazdy, czaty i dostawa furazu, używaną - dzielił na części, i wskazawszy jej odpowiednie luki i punkt zborny, a nawet i z furgonami toż samo robił, wyprawiał ich zaraz z obozu częściowo naprzód, w oznaczonym dla nas kierunku. I zawsze szczęśliwie wychodziliśmy z zarzuconej na nas przez Moskali matni.

W obozie zawsze u nas musiała panować głęboka cisza, spokój, przyzwoitość i karność. Nie wolno było nawet do innego obozu, choćby o kilkadziesiąt kroków stał obok, a nawet do innych kompanij w obozie naszym będących, samowolnie się od swej składowej części oddalić. Każdy zawsze, choćby śpiąc, musiał broń wciąż obok siebie posiadać, a nawet w rękę trzymać, zwłaszcza z początku; gdyż mieliśmy takową różnogatunkową i różnokalibrową. Bardzo często, choć zimno i wichry mocno nam dokuczały, nie było wolno nie tylko ognisk rozłożyć, ale nawet cygar i fajek zapalić, zwłaszcza w nocy. Gdyśmy czasem z konieczności musieli przechodzić przez jakąś wieś

lub miasteczko, najczęściej własnością rządu będących, nie wolno było niczego od mieszkańców zażądać inaczej jak płacąc za to natychmiast gotówką.

Żołdu nie pobieraliśmy żadnego.

Oficerowie, i to nie zawsze, nosili na lewej ręce rodzaj szarfy trójkolorowej amarantowo niebieskiej i białej. Jako nagrodę za męstwo i waleczność rozdano nam dwa razy: raz pięć amarantowych z lampasem z białych sztucznych baranków konfederatek, przyzdobionych każda orłem białym, na kokardzie w czerwonym polu umieszczonym i srebrnymi galonami w rogach i narożnikach zwierchniego kwadratu poobszywanych, ze spadającymi na dół od jednego rogu, takimiż sznurkami i kokardami; drugi raz, dziewięć srebrnych medalików do noszenia na szyi i na piersi, objawiając nam, że są udzielone przez Piusa IX papieża z zupełnym odpustem - nadesłane zaś były w liczbie 100 sztuk do rozdania, pomiędzy najwięcej odznaczających się, we wszystkich oddziałach powstańczych. Jedną i drugą odznakę otrzymałem.

Ponieważ znałem całą topografię województwa, w którym się biliśmy, nadto pracowałem w kwaterze głównej, i byłem zawsze świadom odbieranych różnych wiadomości, przeto choć Czachowski, jak pisałem nie zwierzał się przed nikim ze swych planów, po bardzo krótkim czasie, tak go nauczyłem się przenikać, że zawsze gdyśmy ruszyli z obozowiska i uszli z jaką milę, to chociaż często tych mil aż do 12 na 24 godzin robiliśmy, byłem w stanie powiedzieć w sekrecie, dopytującym się mnie o to dowódczom bataljonów i innym kapitanom: gdzie dążymy i w jakiej okolicy zajdzie i z jakimi siłami moskiewskimi bitwa.

Dzień jej i okolicę samego spotkania, zawsze przewidywałem. Do takiego stopnia zaś posiadałem jego zaufanie, że niby na obojętne zapytanie, do przejeżdżającego kolumnę w marszu Czachowskiego, gdym z szeregu rzucił mu pytanie - daleko ojciec do tej a tej miejscowości? - to popatrzył mi się tylko w oczy, uśmiechnął, pokręcił węża i przejeżdżając dalej obok oddziału, zawsze mi wskazał odległość, o którą go prosiłem. I tak jakoś wypadało, że przy tej miejscowości zawsześmy się z wrogiem spotkali.

Były nawet wypadki, że odgadując podstęp wroga wśród toczącej się z nim bitwy, gdym ujrzał Czachowskiego blisko siebie, ważyłem się to mu przepowiadać i radę wczesną przeciw temu podsuwać, i byłem łaskawie zawsze przezeń wysłuchany a przekonał się, że znów dobrze umiałem odgadywać i zamiary Moskali. Stąd był nadzwyczaj dla mnie przychylnym i łaskawym, co mi niektórych starszych robiło niechętnymi.

Kapelana oddziału posiadaliśmy zawsze. Pacierz i modlitwy poranne wieczorne, dopełnialiśmy pod bronią regularnie. Za to doktora, nigdy żadnego nie mogliśmy dostać. Co się zjawił który i otrzymał żądane pieniądze, na sprawienie potrzebnych instrumentów chirurgicznych i medykamentów najniezbędniejszych, i wyjechał po nie niby z obozu do miasta - jużśmy go więcej nie widzieli. Jeden tylko izraelita, felczer z Warszawy, Antosiem u nas zwany, który wstąpił do oddziału jako prosty ochotnik żołnierz, ten do końca wiernym pozostał, i jednocześnie bijąc się dzielnie, gdy okazała się potrzeba, to wśród gradu kul opatrywał, a nawet mniejsze operacje dokonywał z całą przytomnością i poświęceniem dla rozmaitych towarzyszy broni. Tak z doktorami było pono we wszystkich naszych oddziałach powstańczych r. 1863 i 1864.

## ROZDZIAŁ II

### WPŁYW OSTATNICH CZYNÓW DYKTATORA NA MIESZKANCÓW RADOMIA I MOSKALI

Nadchodzące do Radomia, jedna po drugiej dokładne wiadomości - o zdziałanych przez Langiewicza fatalnych czynach pod Goszczą, Chrobrzem, Grochowiskami<sup>12</sup>, a ostatecznie przekroczeniem jego granicy królestwa pod Opatowem<sup>13</sup>, prawdziwą zgrozą, oburzeniem i boleścią wszystkich miłujących swój kraj a pojmujących ważność ich, nie tylko już mieszkańców Radomia, ale wszystkich ziem dawnej Polski, pod zaborem moskiewskich jęczących - serca i umysły napełniły.

Moskale zaś i ich adherenci jawni, którzy dotąd trwożliwie się oglądali i z ludnością dość oględnie, zwłaszcza w tych czasach postępowali, nabierać poczęli co raz więcej, nie tylko dawnej buty i szerokiej a barbarzyńskiej, bizantyńsko mongolskiej swej natury, lecz widocznie zaczęli już przekraczać o wiele granicę, dawniejszą rodowych swych, wymienionych wyżej własności. Nawet skryci dotąd ich stronnicy, zaczęli już powoli z siebie zrzucić przybrane na się patrijotyczne maski.

Trwoga zaczęła obsiadać wszystkie prawe serca i zmysły a dzielność objawiająca się już, jawnie w czynach jednych, a podłość najnikczemniejsza w usługach dla pierwszych drugich, zmuszały każdego wytrawniejszego, do zastanowienia się: co począć dalej, aby można powstrzymać szal dziki jednych a nikczemny drugich, i ratować honor narodu, na szwank właśnie przez tego wystawiony, który zaprzysiągł bronić go a tak rozmyślnie go poniżyć?

Moskwa gromadziła coraz większe siły w województwie, i już jawnie zapowiadała, jak zamierza teraz po azjatycku gospodarzyć w Królestwie.

Lazarety wojskowe napełniały się wprawdzie rannymi i chorującymi Moskalami; lecz znaczną część tych wypełniali także ranni powstańcy, z którymi najhaniebniej zaczęli się pierwsi obchodzić.

Więzienia przepełnione były nie tylko już powstańcami, ale i spokojnemi, Bogu duszę niewinnemi mieszkańcami, których najczęściej na pierwszy lepszy donos, poszlak nawet pozbawiony, po nocach chwymano, i odsyłano w głąb Moskwy w kajdanach w towarzystwie zawyrokowanych już, prostych zbrodniarzy kryminalnych. Sławne komisje śledcze (oprawcze) mimo znanego ich nie troszczenia się wcale, o zbadanie dokładne sprawy, nie mogły wystarczyć już wcale poruczonemu im zadaniu. Fantazja też i kaprys

---

<sup>12</sup> Marian Langiewicz, jako naczelnik wojskowy województwa sandomierskiego swą kampanię zbrojną rozpoczął od ataku na Szydłowiec w noc 22/23 stycznia 1863. Następnie przesunął się do Wąchocka, a stąd na Święty Krzyż i Staszów. Spod Staszowa ruszył w kierunku Małogoszcza, gdzie miała miejsce bitwa 24 lutego. Stąd przesunął się na południe województwa krakowskiego. Podczas obozowania w Goszczu (11.03) proklamowano go dyktatorem. Kierując się w Góry Świętokrzyskie najpierw stoczył bitwę pod Chrobrzem (17 03), a następnie pod Grochowiskami (18 03). Następnego dnia zapadła decyzja o rozproszeniu oddziału. Langiewicz z zasadniczą częścią wojska Lprzedostał się do Galicji gdzie był internowany. Dionizy Czachowski na czele swego batalionu odłączył się od Langiewicza i ruszył w Góry Świętokrzyskie. O sytuacji w oddziale Langiewicza na trasie od Goszczy do wyjścia do Galicji zob. W. Kalwat, *dz. cyt.* s.108 – 219.

<sup>13</sup> Mylnie. Winno być pod Opatowcem.

chwilowy jaki nawinęły się któremu z tych carskich satrapów, decydowały same już tylko o losie oddanego w ich oprawcze ręce. I tak na przykład: obywatel z pod Radomia Gasiński, były dymissjonowany porucznik moskiewski, chwilowo przyjechał do Radomia; przy rewizji znaleziono u niego w bryczce nienabity pistolet, ale ładunków do niego wcale nie posiadał. Został pomimo to natychmiast rozstrzelanym. Wpadano w dzień i w nocy po domach na rewizje. Obchodzono się podczas tychże z ich mieszkańcami prawdziwie po moskiewsku.

Trzeba być chyba bardzo podłym lub głupim, by twierdzić, że Moskale miękko niby to tłumili powstanie, umyślnie dozwolili mu rozwijać się - a to na co?

Radom obstawiony był ciągle, od wybuchu powstania, dzień i noc, kordonem wojskowym i wysuniętymi placówkami, oraz i rozsyłanemi na wszystkie strony podjazdami.

Tych wszystkich ostrożności i szykan Moskalom jeszcze było za mało. Tu dopiero odkryła się cała przepaść zbrodni tych, co zamierzali byli powstrzymać ruch zbrojny już rozpoczęty. Piekielni ci wyrodki lub idjoci nikczemni, wiazali swemu narodowi ręce, a najazdowi rozwiązali. Za ten rodzaj zdrady, mało kary śmierci!

Łotry Moskale w swem bestjałskiem wyuzdaniu wymyślili, że to Polki wynoszą za miasto pod krynolinami: broń, ładunki, siodła, czapraki, proch, ołów, kapsle, tornistry i ładownice dla powstańców; podczas niby to spacerów odbywanych po za obręb miasta. Wydają tedy rozkaz, aby wszyscy żołnierze na odwachach rogatek przytrzymywali każdą Polkę chcącą iść na spacer za miasto, i objąwszy ją silnie jedną ręką, drugą zapuszczali aż pod ich krynoliny i tam starannie przeszukiwali. Możnaż wymyślić większą podłość i krwawszą obelgę dla narodu!

W mężczyznach wszystkich, którzy byli godni nazwiska Polaków, krew i żądza wzięcia za to strasznej pomsty zawrzała. Wiadomość bowiem, o losie pierwszych ofiar, lotem błyskawicy przebiegła miasto.

Polki musiały odtąd pożegnać się ze spacerem po za miastem. Nagromadzenie coraz większych sił, dało możność Moskalom urządzać częste nocne alarmy załogi. Bębnienie i strzelanina w różnych stronach miasta, co noc się powtarzały. Ukryte tymczasem zasadzki czatowały, czy kto nie wysunie się z domów na odgłos tych, niby to ataków powstańczych, w celu łączenia się z nimi.

Podli głupcy. zamiast powstrzymać, popchnęli teraz cały naród do powstania. - Oto ten rozum stanu, który śmia dzisiaj p. p." rozważni' wychwalać !

Te straszne bezprawia wroga i wiadomość o nominacji Czachowskiego przez Rząd Narodowy, po upadku dyktatury, na naczelnika wojennego wojew. Sandomierskiego, wskazały mi obowiązek zgłosić się wprost do jego oddziału, mimo że wrogowie okrzyczeli go za niesłuchanego despotę.

Dnia 8 kwietnia 1863 r. przypadł właśnie pogrzeb jednego z najzamożniejszych mieszkańców Radomia. Cmentarz leży tam dość daleko, za miastem<sup>14</sup>.

Postarałem się więc, że zrobiono za obszerną trumnę zmarłemu, którego ułożono na paru sztukach rozebranej myśliwskiej broni, dwóch pałaszach, paru pistoletach, kilku funtach prochu i kilku ołowiu, oraz paru kwaterek kapsli. Następnie obok tych, co i tak mieli iść za tym pogrzebem wystawnym, poszło do tysięcy kilkuset mężczyzn, wszyscy w obszernych płaszczach z pelerynami; między temi było 40 ochotników, ze stanu mieszczańskiego. Ci wszyscy znowu nieśli na ciele, pod ubraniem: tornistry patrontasze,

---

<sup>14</sup> Nie udało się ustalić o jakie uroczystości pogrzebowe chodziło.

pasy i dość bielizny, rozebranej pomiędzy sobą.

Ja zaś sam udałem się do kościoła, gdzie wysłuchawszy ofiary mszy świętej na moją intencję odprawionej i odbywszy świętą spowiedź przed bieluteńkim jak gołąb starcem, któremu wyznałem otwarcie, że pragnę spowiadać się z błędów całego mego życia i upraszam o absolicję in articulo mortis; gdyż natychmiast zamierzam opuścić miasto, i iść za kraj nasz i wiarę ś., przez wrogów tak straszliwie uciskane, walczyć; nie mam przeto nadziei, pozostać - dalej przy życiu. Rozrzewniony starzec przyjął wyznanie mych błędów, i udzielił nie tylko żądanej absolicji, ale i błogosławieństwa w imieniu Stwórcy, dodając:

- Idź synu i walcz mężnie; ja zaś za tobą, niedołączny starzec, już tylko modlić się mogę i prosić Ojca wspólnego, aby wiódł szczęśliwie twe kroki, i ochraniał twoje życie; jeżeli to będzie zgodnem z Jego Najwyższą wolą.

A gdym przyjął na tę drogę wieczności ś. komunją, ofiarując przy niej życie moje na służbę Bogu i Ojczyźnie, to pomodliwszy się szczerze po niej, skorom znowu wyszedł ze Świątyni Pańskiej i spojrzął po świecie, ten wyglądał jakby inny jaki cudnie odświeżony.

Udałem się następnie do jednego ze sklepów i zażądałem od kupcowej zapakowania mi całego, jaki się w nim znajdował, zapasu buljonu. Gdym zapłaciwszy za takowy, chciał wychodzić z niego, pani kupcowa wręcza mi najniespodziewanej paczkę z koszulą jedwabną, w oliwie wygotowaną, mówiąc do mnie: Proszę przyjąć odemnie, wielce to panu okaże się użytecznem.

Podziękowałem zdumiony, bo bliższej żadnej znajomości z nią nigdy nie miałem. Lecz któż pojmie moje zdziwienie i rozrzewnienie, gdy jakaś nieznajoma dama, która weszła przed chwilą do tegoż samego sklepu, a do tego nadzwyczaj piękna, - cała w żałobie, zaledwie lat 30 mieć mogąca, powstała raptownie z krzesła, odrzuciła welon, a chwytając mnie w swe objęcia, złożyła serdeczny pocałunek na mem czole, i robiąc ręką znaki krzyża Świętego nad niem, wymówiła nadzwyczaj wzruszona i przyciskając mnie do nadobnych swych piersi:

- Bądź zdrow mój bracie. Niech cię Bóg prowadzi, osłania cię i powróci nam zdrowego i całego!

Nadzwyczaj wzruszony i zmieszany tem wszystkim, ucałowałem rączkę pięknej nieznajomej, a ledwie zdoławszy wymówić parę słów podzięki tym zacnym, tak troskliwym polkom, wyszedłem na ulicę.

Tu już oczekującemu oddałem obydwie paczki do wyprawienia, opisanym wyżej sposobem, za miasto. Wstąpiłem do opróżnionego mego pomieszkania, w którym już tylko łóżko i pościel a na tej na poduszkach dwa moskiewskie medale «za uśmierzenie Węgier z r. 1849", w których wcale przedtem nigdy nie byłem i «za 1853/56 lata" to jest wojnę krymską, w której wcale też nie uczestniczyłem, a które oba, z tytułu tylko, że już wówczas w służbie rządowej Królestwa Polskiego zostawałem, nosić byłem zmuszony<sup>15</sup>. Udałem się, jak zwykle o g. 9 do biura kontroli kas i rachunkowości w którym jako p. o. rachmistrza pracowałem, i uporządkowawszy mój referat w dzień powyższy, rozpocząłem peregrynację po gmachu rządu gubernjalnego, z biura do biura, z sali do sali, dopokąd nie obszedłem i nie pożegnałem w nim licznie pracujących mych

---

<sup>15</sup> Medale, o których wspomina Drażkiewicz, rzeczywiście wręczane były urzędnikom państwowym z nakazem ich noszenia. W ten sposób władze carskie demonstrowały swoją siłę. Porażkę w wojnie krymskiej chciały „przekuć" w zwycięstwo.

kolegów i przełożonych, którzy mnie swą przyjaźnią szczerą i względami zaszczykali.

Dziwne to było pożegnanie, gdy przyszedłem do którego z kolegów i przyjaciół. .

- No, być może, że nie zobaczymy się już więcej tu na ziemi. Jeżeli ci co zawinił, to wybac mi.

Żegnany tak, nic nie mówiąc, spojrział mi tylko w oczy a jego własne łzami zaszyły. Serdecznie mnie ścisnął, i wzajemnie:

- Bądź zdrow! Bądź zdrow! a z czasem «i mnie tam ujrzysz»...

Kończyło to rzewne, bo rzeczywiście ostatnie nasze wzajemne pożegnanie.

Z przełożonym zaś:

- Darujesz pan..., że doznawszy tyle jego względów, gdy nie mam nadziei więcej oglądać go i wynurzyć mu tego tu, na ziemi, przyszedłem panu, serdecznie dziękując za przeszłość pożegnać, i poprosić, abyś nie miał żalu do mnie, gdym go w czem, nie zrozumiał.

Tu następowało zakończenie jak wyżej, tyłkom, już ani jednego: «i mnie tam ujrzysz» nie usłyszał.

O g. 11 r. wyszedłem ostatecznie w mundurze z gmachu rządu gubernjalnego, niby ciężko spracowany przejść się trochę, po za tuż przy gmachu leżącą rogatkę lubelską, traktem lubelskim, na spacer.

Od chwili bowiem powstania z choroby, to jest od dwóch tygodni, o tym właśnie czasie co dzień chodziłem tym i skaryszewskim traktem na przechadzkę. Z początku, bardzo blisko a potem każdodziennie, co raz dalej.

Wojsko trzymające odwach i kordon, oswoiłem przeto dobrze i ze swoją osobą i z temi moimi rogatkowymi spacerami.

Tą razą jednak jakem poszedł na spacer, takem już więcej do dziś dnia do niego nie wrócił.